

# LWIA GRZYWA

---

Dziwna to rzecz, że z najbardziej zawiłym i niezwykłym problemem z całej mojej długiej kariery zetknąłem się dopiero, gdy porzuciłem już pracę. Stało się to pod samymi moimi drzwiami.

W tym czasie mieszkałem w małym domku w Sussex i całkowicie oddawałem się kojącemu współżyciu z przyrodą, o którym marzyłem tak często podczas długich lat spędzonych w mrokach miasta. Poczciwy Watson niemal zniknął mi z oczu. Widywałem go jedynie z okazji sporadycznych weekendów i wizyt. Dlatego też muszę być własnym kronikarzem. O, gdyby był ze mną, jakież opowiadanie byłby zrobił z tej zadziwiającej sprawy i z mego triumfu odniesionego wbrew wszelkim trudnościom! Z konieczności muszę jednak opowiedzieć całe zdarzenie sam w swój własny, prosty sposób, odmalowując każdy krok na trudnej ścieżce, po której szedłem ku rozwiązaniu tajemnicy „lwiej grzywy”.

Dom mój stoi na południowym stoku Downs i widać z niego wielki szmat Kanału. W tym miejscu brzeg zbudowany jest z kredowych skał, z których można zejść tylko jedną, długą, krętą ścieżką, stromą i śliską. U stóp skał, na przestrzeni około stu jardów, rozpościera się teren kamienisty i żwirowaty, którego nie zakrywa nawet przyływ morza. Tu i ówdzie tworzą się wgłębienia i zatoczki, mogące służyć jako doskonałe baseny pływackie, przy każdym przyplywie napełniane świeżą wodą. Ta wspaniała plaża ciągnie się na parę mil w obie strony i tylko w jednym miejscu przerywa ją zatoka i miasteczko Fulworth.

Mój dom stoi samotnie. Ja, stara służąca i pszczoły mamy tę całą posiadłość tylko dla siebie. O pół mili dalej znajduje się znana szkoła Harolda Stackhursta w Gables, dużej posiadłości, w której kilkudziesięciu młodych ludzi pod kierunkiem paru profesorów przygotowuje się do różnych zawodów. Sam Stackhurst był za młodu znanym wioślarzem w uniwersyteckiej drużynie i wszechstronnym naukowcem. Żyję z nim w przyjaźni od dnia przybycia na wybrzeże i jest on jedynym człowiekiem, z którym łączą mnie na tyle dobre stosunki, że odwiedzamy się wieczorami bez uprzedniego zaproszenia.

W końcu lipca 1907 roku mieliśmy silną burzę; wiatr, który wiał od Kanału, wznosił tak wielkie fale, że sięgały podnóża skał, a po odpływie pozostawiły na plaży liczne zalewy. Potem wichura ustała i świat wyglądał wymyty i świeży. Trudno było pracować tak pięknego ranka, toteż przed śniadaniem wybrałem się na przechadzkę, by odetchnąć cudownym powietrzem. Poszedłem wzdłuż skał ścieżką prowadzącą do stromego zejścia na plażę. Idąc usłyszałem, że ktoś mnie woła; był to Harold Stackhurst, który w serdecznym powitaniu kiwał ku mnie ręką.

— Co za ranek, panie Holmes! Spodziewałem się, że pana spotkam.

— Widzę, że idzie pan popływać!

— Jak zwykle zdradza pan niebywałą przenikliwość — zaśmiał się Stackhurst, uderzając dłonią po wypchanej kieszeni.

— Tak. McPherson wyruszył wcześniej, sądzę, iż go tam spotkam.

Fitzroy McPherson był magistrem nauk przyrodniczych i przystojnym, dobrze zbudowanym młodym człowiekiem, któremu niedomagania serca, spowodowane goścem, zatruwały życie. Był jednak urodzonym sportowcem i celował we wszystkich dyscyplinach nie wymagających dużego wysiłku

fizycznego. Pływał latem i zimą, a że i ja także jestem niezłym pływakiem, często kąpaliśmy się razem.

W tej chwili ujrzeliśmy McPhersona. Jego głowa ukazała się nad brzegiem skały, w miejscu gdzie kończy się ścieżka. Potem wyłonił się cały i dostrzegliśmy, że zatacza się, jakby był pijany. Nagle podniósł ręce w górę i ze strasznym krzykiem upadł na twarz. Stackhurst i ja pobiegliśmy do niego — musieliśmy przebiec z pięćdziesiąt jardów — i odwróciliśmy go na wznak. Nie ulegało wątpliwości: konał. Szkliste, wpadnięte oczy i przerażająco sine policzki nie mogły oznaczać nic innego. Iskra życia ożywiła na chwilę jego twarz, wyrzucił z siebie parę słów, jakby chcąc nas przed czymś ostrzec. Bełkotał i połykał wyrazy, ale ostatni okrzyk, któryś wyrwał mu się z ust, zabrzmiał w moim uchu jak „lwia grzywa”. Nie miał zupełnie sensu, jednak tak właśnie go zrozumiałem. Potem McPherson uniósł się z ziemi, wyciągnął ręce i opadł na bok. Nie żył.

Ta okropna scena sparaliżowała mego towarzysza, ja za to, jak łatwo się domyślić, napiąłem uwagę. Zorientowałem się od razu, że mamy do czynienia z nadzwyczajnym wypadkiem. McPherson ubrany był tylko w płaszcz burberry, spodnie i nie zasnurowane płócienne pantofle. Gdy upadł, płaszcz zsunął się, odsłaniając plecy. Patrzyliśmy na nie zdumieni. Były całe pokryte ciemnoczerwonymi pręgami, tak jakby go silnie wychłostano biczem z cienkiego drutu. Narzędzie tej strasznej tortury musiało być giętkie, bo zaognione pręgi okalały ramiona i żebra. Z wargi zagryzionej w paroksyzmie bólu krew ściekała aż na brodę. Twarz skurczona i wykrzywiona mówiła, jak strasznie musiał cierpieć.

Kłęczałem jeszcze nad trupem, a Stackhurst stał przy mnie, gdy padł na nas czyjś cień i ujrzeliśmy Lewisa Gryffa, nauczyciela matematyki w szkole Stackhursta. Był to wysoki,

śniady i szczupły mężczyzna, wielki odludek i mu czek. Nie miał chyba żadnych przyjaciół. Wydawało się, że wiecznie przebywa w oderwanej krainie liczb i hiperboli i że nic nie łączy go z życiem. Studenci uważali go za dziwaka i pewnie zrobiliby sobie z niego kozła ofiarnego, gdyby nie to, iż w żyłach miał obcą krew, przejawiającą się nie tylko, w czarnych jak węgiel oczach i śniadej cerze, ale i w wybuchach nieokiełznanego gniewu, które czyniły go zupełnie dzikim. Raz, rozżłościwszy się na psa McPhersona, schwycił biedne zwierzę i cisnął nim w lustrzaną szybę okna. Stackhurst niechybnie zwolniłby go za to z pracy, gdyby Gryff nie był tak dobrym wykładowcą. Ten właśnie dziwny człowiek zjawiał się teraz obok nas. Wydawał się szczerze wstrząśnięty widokiem, który miał przed sobą, chociaż sądząc po zdarzeniu z psem, nie było między nim a zmarłym wielkiej sympatii.

— Biedaczysko! Biedaczysko! Co robić? Czy można coś pomóc?

— Był pan z nim? Co mu się stało?

— Nie, nie byłem. Wstałem dziś późno. W ogóle nie byłem na plaży. Przyszedłem z Gables. Co mogę zrobić?

— Niech pan idzie na posterunek w Fulworth i niech ich pan zawiadomi o wypadku.

Pobiegł co tchu, bez słowa, ja zaś zabrałem się do śledztwa. Wstrząśnięty Stackhurst nie odchodził od ciała.

Przede wszystkim sprawdziłem, kto był na plaży. Ze szczytu ścieżki mogłem objąć wzrokiem całą jej połąć. Była zupełnie pusta, tylko daleko, daleko, widać było dwie czy trzy ciemne sylwetki, zdążające ku Fulworth. Ustaliwszy to, zeszedłem powoli ścieżką w dół. Grunt był gliniasto–marglowy z domieszką kredy. Tu i tam widziałem ślady stóp wiodące w górę i w dół. Tylko McPherson chodził dziś tędy. W jednym miejscu

zauważyłem ślad dłoni, przy czym palce zwrócone były ku górze. Mogło to tylko oznaczać, iż biedny McPherson upadł w czasie, wchodzenia. Także parę okrągłych wgłębień wskazywało, że chwilami posuwał się na czworakach. U stóp ścieżki pozostał spory zalew po odpływie. Tutaj McPherson rozbierał się, bo na kamieniu leżał ręcznik. Był starannie złożony i zupełnie suchy, wyglądało więc jakby nieszczęśliwy McPherson wcale nie był w wodzie. Badając starannie kamienistą plażę koło zalewu, natknąłem się kilka razy na wysepki piasku, w których widniały odcisnięte ślady płóciennych pantofli, a także bosych stóp, co świadczyło, że McPherson przygotował się całkowicie do kąpieli, chociaż sądząc z ręcznika, do wody nie wszedł.

Tak wyglądała ta sprawa — najdziwniejsza ze wszystkich, z jakimi miałem do czynienia. Zmarły przebywał na plaży najwyżej kwadrans; co do tego nie było wątpliwości, bo Stackhurst o tyle później wyszedł za nim z Gables. Jak wskazywały odciski bosych stóp, McPherson rozebrał się, a potem nagle narzucił na siebie odzienie i nie zapinając się ani nie sznurowując butów, zawrócił. Stało się tak dlatego, że został zbity w okrutny, nieludzki sposób, skatowany tak, że pogryzł sobie z bólu wargi. Miał tylko tyle sił, ile trzeba, aby wyczołgać się z plaży, i zaraz skonał. Kto dopuścił się tej zbrodni? W skałach było wiele pieczar i grot, ale nisko stojące słońce oświetlało je doskonale, tak że nikt nie mógłby się w nich ukryć. Na plaży widziałem wprawdzie ludzi, lecz byli za daleko, by mieć coś wspólnego ze zbrodnią. Poza tym rozpościerający się u stóp skał szeroki zalew, właśnie ten, w którym McPherson chciał się kąpać, oddzielał ich od niego. Po morzu, niedaleko brzegu, płynęło kilka łodzi rybackich; Rybaków można było, naturalnie, przesłuchać. Było wiele dróg, po których mogło toczyć się

śledztwo, ale żadna nie prowadziła do wyraźnego celu.

Kiedy powróciłem wreszcie do ciała, zebrała się już koło niego grupka gapiów. Stackhurst był tam także, a Lewis Gryff nadszedł właśnie z Andersonem, miejscowym policjantem, wielkim mężczyzną o rudych wąsach, powolnym i solidnym, z gatunku tych mieszkańców Sussex, którzy pod ospałym, spokojnym wyglądem ukrywają wiele zdrowego rozsądku. Wysłuchał on wszystkiego, zanotował nasze słowa i wreszcie odciągnął mnie na bok.

— Prosiłbym, żeby mi pan radził, jak mam postępować, panie Holmes. To dla mnie poważna sprawa, a jak narobię głupstw, to się nasłucham od inspektora.

Poradziłem mu, aby wezwał swego bezpośredniego przełożonego oraz lekarza, a także, aby nie pozwolił niczego ruszać i aby przed przybyciem władz zdjął wszystkie odciski stóp, póki są świeże. Ja sam przeszukałem kieszenie zmarłego. Znalazłem chustkę, duży nóż i portfelik, z którego wystawał kawałek papieru. Rozwinąłem go i podałem policjantowi. Było na nim napisane niewyraźnym kobiecym pismem: *Możesz być pewny, że przyjdę — Maudie*. To wyglądało na sprawy sercowe i na jakieś rendez-vous, chociaż gdzie i kiedy miało się ono odbyć, pozostawało niewiadome. Policjant włożył z powrotem list do portfeliku i wraz z innymi rzeczami wsunął go do kieszeni płaszcza zmarłego. Ponieważ nic więcej nie przychodziło mi już na myśl, wróciłem do domu na śniadanie, zarządziwszy tylko, żeby dokładnie przeszukano okoliczne skały.

Po jakimś czasie przyszedł do mnie Stackhurst, by mi powiedzieć, że ciało zabrano do Gables, gdzie będzie prowadzone śledztwo. Przyniósł mi także kilka ważnych i

dokładnych wiadomości. Tak jak się spodziewałem, w małych pieczarach pod skałami nic nie znaleziono. Za to w papierach McPhersona Stackhurst trafił na parę listów świadczących o zażyłej korespondencji z niejaką panną Maud Bellamy z Fulworth. A więc zidentyfikowaliśmy autorkę kartki.

— Policja zabrała listy — wyjaśnił Staekhurst — nie mogłem więc ich przynieść. Ale niewątpliwie nie była to przelotną miłostka. Chyba jednak nie miała związku z wypadkiem, tyle że panna Bellamy wyznaczyła mu spotkanie.

— Ale przecież nie przy zalewie, w którym wszyscy się kąpiecie — zauważyłem.

— Tak, to tylko przypadek, że McPherson nie był w towarzystwie studentów.

— Czy to aby przypadek?

Stackhurst w zamyśleniu zmarszczył brwi.

— Zatrzymał ich Lewis Gryff — powiedział. — Uparł się, by przed śniadaniem zrobić wykład z algebry. Biedny chłop, strasznie go to wzięło.

— Przecież nie byli przyjaciółmi.

— Kiedyś nie. Ale mniej więcej od roku Gryff żył tak blisko z McPhersonem, jak mu na to pozwalało jego dzikie usposobienie. Nie jest z natury zbyt towarzyski.

— Tak mi się zdawało. Przypominam sobie, że kiedyś opowiadał mi pan o kłótni między nimi o jakiegoś psa.

— To stara historia.

— Mogła pozostać chęć zemsty.

— Nie, nie; jestem pewien, że byli naprawdę przyjaciółmi.

— No dobrze; musimy wyjaśnić sprawę dziewczyny. Czy pan ją zna?

— Wszyscy ją znają. Jest tutejszą pięknością, zresztą prawdziwą pięknością, która wszędzie zwróciłaby uwagę.

Wiedziałem, że podobała się McPhersonowi, ale nie wyobrażałem sobie, że sprawy zaszły tak daleko, jak to wynika z tych listów.

— A kim ona jest?

— Jest córką starego Toma Bellamy, właściciela wszystkich łodzi i budek kąpielowych w Fulworth. Bellamy zaczął kiedyś od zwykłego rybaka, teraz jest dość zamożnym człowiekiem. Prowadzi interes z synem Williamem.

— Pójdziemy do Fulworth zobaczyć się z nimi? — Pod jakim pretekstem?

— Och, trzeba znaleźć jakiś pretekst. Ostatecznie ten biedak nie pokaleczył się sam w tak okropny sposób. Ktoś trzymał rączkę bicia, oczywiście, jeśli te rany pochodzą od bicia. W tym odludnym miejscu McPherson musiał mieć niewielkie kółko znajomych. Zbadajmy je dokładnie, a na pewno znajdziemy motyw, który z kolei doprowadzi nas do zbrodniarza.

Spacer poprzez pachnące macierzanką pola Downs byłby naprawdę uroczy, gdyby nie nasze myśli zatrute tragedią, której staliśmy się świadkami. Miasteczko Fulworth leży w wygiętym łuku nad zatoką. Na stokach wzgórz, za starą rybacką wioską, wybudowano, parę nowoczesnych domów. Stackhurst skierował się do jednego z nich.

— To jest „Przystań”, jak nazwał go Bellamy. Ten z narożną wieżyczką i łupkowym dachem. Nieźle jak na człowieka, który zaczął jedynie od... Na Boga, niech pan patrzy!

Furtka ogrodu „Przystani” otworzyła się i wyszedł z niej mężczyzna. Trudno było się mylić co do tej wysokiej, kanciastej błędnej postaci. To był matematyk Lewis Gryff. W chwilę później staliśmy z nim na drodze oko w oko.

— Halo! — zawołał Stackhurst. Gryff skinął głową, spojrzał na nas z ukosa swymi dziwnymi czarnymi oczami i byłby nas



minał, gdyby go nie zatrzymał jego przełożony.

— Co pan tu robi? — zapytał. Gryff zaczerwienił się ze złości.

— Pod pańskim dachem jestem pańskim podwładnym. Nie zdaje mi się jednak, abym miał się panu tłumaczyć z moich prywatnych spraw.

Nerwy Stackhursta były napięte do ostatnich granic po tym, co przeszedł. Gdyby nie to, byłby się pewnie powstrzymał. Teraz jednak zupełnie stracił panowanie nad sobą.

— W tych warunkach pańska odpowiedź jest po prostu impertynencją, panie Gryff.

— Pańskie pytanie podpada pod ten sam nagłówek.

— Nie pierwszy to raz muszę być pobłażliwy dla pańskich wyskoków, ale za to ostatni. Proszę łaskawie postarać się o nową pracę, i to jak najszybciej.

— Właśnie chciałem to zrobić. Straciłem dziś jedyne go człowieka, który umożliwiał mi życie w Gables.

Odszedł wielkimi krokami. Stackhurst zaś stał i patrzył za nim gniewnym wzrokiem.

— To jest niemożliwy człowiek, nie do wytrzymania! — wykrzyknął.

Zaczęła prześladować mnie uporczywa myśl, że Lewis Gryff chwycił się lada pretekstu, by utorować sobie drogę ucieczki z miejsca zbrodni. Podejrzenie, zrazu mgliste i niejasne, teraz przybierało wyraźne kształty. Być może wizyta u Bellamych rzuci dodatkowe światło na tę sprawę. Stackhurst uspokoił się wreszcie i ruszyliśmy w stronę domu.

Bellamy, mężczyzna w średnim wieku, z płomiennorudą brodą, był chyba w bardzo złym humorze, bo twarz miał prawie tak czerwoną jak włosy.

— Nie życzę sobie żadnej rozmowy na ten temat. Mój syn — tu wskazał na krzepkiego młodzieńca o twarzy tępej i

odpychającej, który siedział w rogu bawialni — podziela moje zdanie, iż McPherson miał niecne zamiary w stosunku do Maud. Tak, słowo „małżeństwo” nigdy nie padło między nimi, a jednak wymieniali listy, spotykali się i byli w zażyłości, z którą żaden z nas nie mógł się pogodzić. Maud nie ma matki i my jesteśmy jedynymi jej opiekunami. Jesteśmy zdecydowani...

Wejście samej panny Bellamy przerwało ten monolog. Trudno było zaprzeczyć, że jej osoba dodałaby blasku każdemu, najświetniejszemu nawet towarzystwu. Kto by przypuścił, że na takiej glebie i w takiej atmosferze może wyrosnąć równie rzadki kwiat? Kobiety na ogół nie robiły na mnie wrażenia, gdyż mój umysł panował zawsze nad sercem, lecz patrząc na jej doskonale wyrzeźbioną twarz, zawierającą w swym pastelowym kolorycie całą miękką świeżość Downs, zdawałem sobie sprawę, iż żaden mężczyzna nie przejdzie obok niej obojętnie. Otworzyła teraz drzwi i stała przed Stackhurstem z szeroko otwartymi oczami i skupionym spojrzeniem.

— Już wiem, że Fitzroy nie żyje — powiedziała. — Nie lękajcie się opowiedzieć mi szczegółów.

— Ten twój drugi facet przyniósł nam wiadomość — wyjaśnił jej ojciec.

— Nie widzę powodu, dla którego miesza się moją siostrę w tę całą sprawę — warknął młodzieniec.

Dziewczyna rzuciła mu krótkie, ostre spojrzenie.

— To moja rzecz, Williamie. Pozwól łaskawie, że ją sama załatwię. Zdaje mi się, iż popełniono tu zbrodnię. Jeśli tylko będę mogła pomóc w wykryciu zabójcy, będzie to najmniejsza rzecz, jaką mogę uczynić dla zmarłego.

Wysłuchiwała krótkiego sprawozdania Stackhursta w spokojnym skupieniu, które dowiodło mi, że przy wielkiej piękności posiadała także silny charakter. Maud Bellamy pozostanie na

zawsze w mej pamięci jako najdoskonalsza z kobiet. Musiała znać mnie z widzenia, bo przy końcu opowiadania zwróciła się do mnie.

— Niech pan odda złoczyńców w ręce sprawiedliwości, panie Holmes. Może pan być pewny, że panu pomogę niezależnie od tego, kim by mieli być.

Zdawało mi się, że przy tych słowach spojrzała zaczepnie na ojca i brata.

— Dziękuję pani — rzekłem. — W tego rodzaju okolicznościach doceniam instynkt kobiecy. Powiedziała pani „oni”. Czy pani przypuszcza, że zamieszana jest w to więcej niż jedna osoba?

— Dość dobrze poznałam pana McPhersona i wiem, że był silny i odważny. Nie wyobrażam sobie, by jeden człowiek mógł go tak pokaleczyć.

— Czy mógłbym zamienić z panią parę słów na osobności?

— Proszę cię, Maud, nie mieszaj się w tę sprawę — ze złością krzyknął jej ojciec. Spojrzała na mnie bezradnie. — Co mam zrobić?

— I tak tajemnica wyjdzie niebawem na jaw, nie zaszkodzi więc, jeśli pomówimy tutaj — odrzekłem. — Wolałbym wprawdzie rozmawiać z panią w cztery oczy, skoro jednak pani ojciec sprzeciwia się temu, będziemy musieli dopuścić go do narady. — I powiedziałem o liściku, który znaleziono w kieszeni zmarłego. Na pewno wyda się to na śledztwie. Czy mógłbym prosić o wyjaśnienie sprawy tego liściku, oczywiście, jeśli pani może?

— Nie ma tu nic do ukrywania. Byliśmy zaręczeni, a trzymaliśmy to w tajemnicy jedynie dlatego, że wuj Fitzroya, stary już i bliski śmierci, mógłby go wydziedziczyć, gdybyśmy się pobrali wbrew jego woli. To był jedyny powód.

— Mogłaś nam była powiedzieć — mruknął pan Bellamy. — Powiedziałabym, ojciec, gdybyś mi okazywał więcej życzliwości.

— Nie życzę sobie, by moja córka przestawała z ludźmi z innego, środowiska.

— Tylko twoje uprzedzenie do niego powstrzymywało nas od szczerości. Co do spotkania... — poszperała w fałdach sukni i wyciągnęła zmięty bilecik — wyznaczyłam je w odpowiedzi na to.

— ”Najmilsza” — przeczytałem — „we wtorek na plaży, na zwykłym miejscu, zaraz po zachodzie słońca. Wcześniej nie będę wolny. F. M.”

— Wtorek to dziś; miałam się z nim spotkać wieczorem.

Odwróciłem papier.

— List nie przyszedł pocztą. Jak pani go dostała?

— Wolalabym nie odpowiadać na to pytanie., To naprawdę nie ma nic wspólnego ze sprawą, którą pan bada. Ale chętnie odpowiem na wszystko, co może jej dotyczyć.

Dotrzymała słowa, nie powiedziała jednak już nic, co mogłoby nam pomóc. Nie przypuszczała — przynajmniej nic na to nie wskazywało — aby jej narzeczony miał ukrytego wroga, przyznała jednak, że ona miała wielu gorących wielbicieli.

— Pozwoli pani zapytać, czy pan Lewis Gryff był jednym z nich?

Zaczerwieniła się i wyglądała na zmieszaną.

— Był czas, kiedy myślałam, że tak. Ale to się zmieniło, odkąd się dowiedział o stosunkach łączących mnie z Fitzroyem.

I znowu cień spoczywający na tym, dziwnym człowieku zaczął w mych oczach przybierać bardziej konkretne kształty. Trzeba zbadać jego przeszłość — myślałem — dyskretnie przeszukać jego mieszkanie. Stackhurst chętnie mi pomoże, bo i

w jego umyśle powstawały podejrzenia. Wracaliśmy z naszej wizyty przekonani, że już trzymamy w rękach jeden koniec nici.

Minął tydzień. Śledztwo nie rzuciło żadnego światła na sprawę i zostało odłożone do czasu uzyskania dalszych poszlak. Stackhurst przeprowadził dyskretny wywiad o swoim podwładnym; przeszukano też pobieżnie jego mieszkanie, lecz bez rezultatu. Jeżeli chodzi o mnie, obszedłem raz jeszcze miejsce zbrodni i przemyślałem wszystko odnowa — także bez rezultatu. W całej kronice moich przygód czytelnik nie znajdzie drugiej sprawy, wobec której czułbym się aż tak bezradny. Nawet moja wyobraźnia nie mogła mi podsunąć rozwiązania tajemnicy. Wtedy zaszedł wypadek z psem.

Pierwsza dowiedziała się o tym moja stara gospodyni, owymi dziwnymi drogami, jakimi ludzie dowiadują się o wszystkich wydarzeniach w okolicy.

— Smutna historia z tym psem pana McPhersona — powiedziała pewnego wieczoru.

Zazwyczaj nie podtrzymuję takich rozmówek, ale jej słowa przykuły moją uwagę.

— Co się stało z psem pana McPhersona?

— Zdechł. Zdechł z żalu za swoim panem.

— Kto pani o tym powiedział?

— Jak to kto? Wszyscy o tym mówią. Strasznie rozpaczał, nie jadł nic przez tydzień. A dziś dwóch młodych panów z Gables znalazło go zdechłego, — tam na plaży, na tym samym miejscu, gdzie zginął jego pan.

„Na tym samym miejscu”. Słowa te utkwiły mi w mózgu. Doznałem jakiegoś mglistego wrażenia, że ten fakt ma kapitalne znaczenie. To, że pies zdechł, było zgodne z piękną, wierną psią naturą. Ale „na tym samym miejscu”!. Dlaczego samotna plaża

pod Gables miałyby być dla niego fatalna? Czy to możliwe, żeby on także miał paść ofiarą jakiejś okrutnej zemsty? Czy to możliwe...? Tak, wrażenie było mgliste, ale coś już zaczynało kiełkować w moim mózgu. Parę minut później spieszyłem do Gables. Stackhursta zastałem w gabinecie. Na moją prośbę posłał po Sudburyego i Blounta, dwóch studentów, którzy znaleźli psa.

— Tak, leżał na brzegu zalewu — powiedział jeden z nich. — Musiał pobiec po śladach swego zmarłego pana.

Obejrzałem wierne zwierzę, airdale–terriera, leżącego na chodniku w hallu. Był zimny i sztywny, oczy miał wytrzeszczone, łapy wykręcone w skurczu. Z całej postaci wyzierał ból.

Z Gables poszedłem nad zalew. Słońce stało nisko i cień wielkiej skały na połyskującej matowo wodzie kładł się czarno jak ołowiana płyta. Na plaży nie było żywego ducha, tylko dwie mewy kołowały piszcząc nad moją głową. W gasnącym świetle z trudnością rozróżniałem niewielkie ślady psich łap na piasku obok głazu, na którym jego pan kiedyś położył ręcznik. Przez długi czas stałem głęboko zamyślony, a cienie wokół mnie gęstniały coraz bardziej. Myśli jedna za drugą przebiegały mi przez głowę. Znacie to koszarne uczucie, kiedy się wie, że coś niesłychanie ważnego, czego się szuka, jest tuż, tuż, lecz nie można tego uchwycić. To właśnie czułem, gdy stałem samotnie w miejscu tragedii. Wreszcie zawróciłem i powoli poszedłem do domu.

Byłem akurat na szczycie ścieżki, kiedy olśniła mnie pewna myśl. Nagle uświadomiłem sobie to, czego tak żarliwie i bezskutecznie szukałem. Jeśli Watson nie pisał swej kroniki nadaremnie, to moim czytelnikom wiadomo chyba, że posiadam ogromny zasób różnych wiadomości, zupełnie nie

usystematyzowanych, lecz jakże przydatnych w mojej pracy. Mój umysł przypomina szafę biblioteczną, zapchaną bez ładu i składu różnymi foliałami — jest ich tyle, że mam słabe tylko pojęcie o tym, co zawierają. Czułem przez cały czas, iż tkwi tam coś, co ma związek ze sprawą. Nie miałem jeszcze wyjaśnienia, ale już wiedziałem, gdzie go szukać. Koncepcja była monstrualna i niewiarygodna, jednak mimo wszystko możliwa. Czułem, że będę ją musiał dokładnie przeanalizować.

W moim małym domu jest wielka mansarda zapchana książkami. Poszedłem tam i szperałem przez godzinę. W końcu wynurzyłem się z czekoladowo–srebrnym tomikiem w rękę. Gorączkowo przerzucałem rozdział, którego treść niejasno pamiętałem. Tak, rzeczywiście, moje przypuszczenie było arcyśmiałe i nieprawdopodobne, nie spocznę jednak, póki się nie przekonam, czy nie jest prawdziwe. Położyłem się późno, mając myśli zajęte pracą, która mnie rano czekała.

Niestety, przeszkodzono mi w przykry sposób. Ledwie bowiem zdążyłem przełknąć poranną filiżankę herbaty i właśnie wybierałem się na plażę, gdy zjawił się inspektor Bardl z policji w Sussex — spokojny, solidny, powolny człowiek o myślących oczach. Patrzył dziś na mnie z głębokim zakłopotaniem.

— Wiem, że pan ma wielkie doświadczenie — powiedział. — Moja wizyta jest zupełnie nieoficjalna i wolałbym, aby pozostała w tajemnicy. Ale mam poważne trudności ze sprawą McPhersona. Nie wiem, czy aresztować, czy nie.

— Myśli pan o Gryffie?

— Tak, sir. Nie ma nikogo innego, kogo można by posądzić. To są plusy tego pustkowia; poszukiwania sprowadzają się do bardzo małego kręgu osób. Jeśli on tego nie zrobił, to kto?

— Jakie ma pan dowody przeciwko niemu?

Okazało się, że Bardl błędził po tych samych bezdrożach, po

których błądziłem i ja. A więc: charakter Gryffa i tajemnica, która zdawała się go otaczać, jego wybuchy wściekłości, które wyszły na jaw w incydencie z psem, fakt, że kiedyś kłócił się z McPhersonem i że mógł mieć do niego żal z powodu powodzenia u panny Bellamy. Bardl miał wszystkie moje dane, nie przyniósł jednak nic nowego poza wiadomością, iż Gryff szykuje się do wyjazdu.

— Jak ja będę wyglądał, jeśli pozwolę mu się wymknąć, gdy na nim ciążyą wszystkie poszlaki? — Tęgi, flegmatyczny mężczyzna tracił równowagę ducha.

— Niech się pan zastanowi — powiedziałem — nad wszystkimi lukami w pańskim rozumowaniu. Na ów ranek Gryff ma niezbite alibi. Do ostatniej chwili był ze studentami i nadszedł ku nam od strony Gables w parę minut po znalezieniu McPhersona. Niech pan też weźmie pod uwagę, że jest rzeczą zupełnie niemożliwą, aby Gryff sam jeden mógł tak poranić mężczyznę równie silnego. Pozostaje jeszcze kwestia narzędzia, którym zadano rany.

— To musiał być bicz albo jakaś giętka szpicruta.

— Czy dokładnie obejrzał pan ślady? — spytałem.

— Widziałem je. Doktor też.

— Ale ja obejrzałem je bardzo dokładnie przez szkło powiększające. To nie są normalne ślady razów.

— Dlaczego, panie Holmes?

Podszedłem do biurka i wyciągnąłem powiększoną fotografię.

— To jest moja metoda w tego rodzaju sprawach — wyjaśniłem.

— Pracuje pan nadzwyczaj skrupulatnie, panie Holmes.

— Nie byłbym tym, kim jestem, gdybym tego nie robił. Przyjrzymy się teraz tej prędze, która biegnie wokoło prawego barku. Czy nie widzi pan nic szczególnego?



— Chyba nie.

— Wyraźnie widać, że głębokość przecięcia nie jest jednakowa. Tutaj mamy większą plamę krwi. I. tu też. Ta druga rana, tu niżej, wygląda tak samo. Co to może znaczyć?

— Nie mam pojęcia. Czy pan wie?

— Może wiem, a może nie wiem. Niedługo będę mógł więcej na ten temat powiedzieć. Jeśli będziemy wiedzieli, co pozostawiło te ślady, będziemy już blisko zbrodniarza.

— To jest oczywiście głupi pomysł — powiedział policjant — ale gdyby przycisnąć do pleców rozgrzaną do czerwoności siatkę, to te głębiej rozranione miejsca wypadałyby na skrzyżowaniu drutów,

— Doskonałe porównanie. Albo na przykład bardzo sztywna dziewięciopalczasta dyscyplina z ostrymi węzełkami?

— Na Boga, sir! Myślę, że pan trafił!

— Ale to również może być zupełnie coś innego, panie Bardl. W każdym razie pańskie poszlaki są za słabe, aby zdecydować się na aresztowanie. Poza tym ostatnie słowa — „lwia grzywa”.

— Zastanawiałem się, czy Lewis Gry...

— Tak, ja też brałem to pod uwagę. Gdyby „Lewis”. Ale nie. On to prawie krzyczał. Jestem pewien, że powiedział „lwia”.

— Czy ma pan inną koncepcję, panie Holmes?

— Może mam. Ale nie chcę jej omawiać, póki nie zdobędę pełnego materiału.

— Kiedy to nastąpi?

— Za godzinę, może wcześniej.

Bardl potarł podbródek i spojrzał na mnie niepewnie.

— Chciałbym wiedzieć, o czym pan myśli, panie Holmes. Czy to chodzi o te rybackie łodzie?

— Nie, nie. Były za daleko.

— No, dobrze, więc może Bellamy i ten jego krzepki synalek?

Nie bardzo kochali pana McPhersona. Mogli mu zrobić krzywdę.

— Nie, nie. Nic pan ze mnie nie wyciągnie, dopóki nie będę gotów, — powiedziałem z uśmiechem. — A teraz, panie inspektorze, każdy z nas ma swoją robotę. Gdyby pan chciał spotkać się tu ze mną w południe...?

W tym momencie zaszedł wstrząsający wypadek, który był początkiem końca.

Drzwi wejściowe mojego domu rozwarły się gwałtownie. Z korytarza doleciały nas chwiejne kroki i Lewis Gryff, blady, rozczochrany, w rozchełstonym odzieniu, wtoczył się do pokoju, czepiając się mebli kościstymi rękami, aby nie upaść.

— Koniaku! Koniaku! — wyszeptał i z jękiem runął na sofę.

Nie przyszedł sarn. Za nim wbiegł Stackhurst, bez kapelusza, zadyszany i prawie tak roztrzęsiony jak tamten.

— Tak, tak, koniaku! — wykrzyknął. — On ledwie żyje. Z trudem go tu przyprowadziłem. Dwa razy zemdlał mi w drodze.

Pół szklaneczki czystego spirytusu dało zadziwiający efekt. Gryff uniósł się na jednej ręce i zsunął marynarkę z ramion.

— Na miłość boską! Oliwy, opium, morfiny! — wołał. — Dajcie mi coś, co uspokoi ten ból!

Inspektor i ja krzyknęliśmy głośno. Na nagim ramieniu Gryffa krzyżowały się zaognione pręgi, tworząc ten sam czerwony wzór, który był śmiertelnym piętnem Fitzroya McPhersona.

Ból musiał być straszny, i to nie tylko poranionej skór, bo nieszczęśnik na chwilę przestał oddychać, twarz mu szerniała, a potem głośno chwytając powietrze złapał się ręką za serce. Z czoła spływały mu krople potu. Lada chwila mógł skonać. Laliśmy mu w gardło coraz więcej koniaku, a każda porcja wracała mu siły. Tampony waty zmoczonej w oliwie uśmierzały ból dziwnych ran. W końcu głowa Gryffa opadła ciężko na

poduszkę. Wyczerpany organizm szukał schronienia w życiodajnym śnie. Był to półsen, półomdlenie, ale przynajmniej stanowił ucieczkę od cierpienia.

Nie można było pytać go o nic, więc gdy tylko uspokoiliśmy się co do jego stanu, Stackhurst zwrócił się do mnie.

— Boże! Co to znaczy, Holmes? Co to znaczy?

— Gdzie go pan znalazł?

— Na plaży. Dokładnie tam, gdzie zginął biedny McPherson. Gdyby Gryff miał tak słabe serce jak McPherson, nie byłby teraz tutaj. Parę razy myślałem, że już po nim, gdy go tu prowadziłem. Przyszedłem do pana, bo do Gables jest dalej.

— Spostrzegł go pan na plaży?

— Szedłem ścieżką po skałach i nagle usłyszałem, że ktoś krzyczy. Gryff stał nad brzegiem chwiejąc się jak pijany. Zbiegłem na dół, okryłem go, jak się dało i przywlokłem tutaj. Na miłość boską, Holmes, niech pan użyje wszystkich swoich sił i nie szczeni trudu, ale niech pan zdejmie kłatwę z tej okolicy, bo życie tutaj stało się już niemożliwe. Czyż pan, sławny na cały świat, nie może nic dla nas zrobić?

— Myślę, że mogę. Chodźcie ze mną! Pan, inspektorze, też! Zobaczymy, czy nam się uda oddać zbrodniarza w pańskie ręce.

Zostawiwszy nieprzytomnego Gryffa pod opieką mojej gospodyni poszliśmy we trójkę do fatalnego zalewu. Na żwirze plaży leżała kupka odzieży i ręczników pozostawionych przez biednego Gryffa. Powoli szedłem nad brzegiem wody, a moi towarzysze kroczyli za mną gęsiego. Większa część zalewu była zupełnie płytka, tylko pod skałą, tam gdzie woda podmyła brzeg, dno schodziło głębiej. Oczywiście, tam musiał kierować się każdy pływak, przyciągnięty czystą jak kryształ, zielonkawą i przezroczystą wodą. Obrzeżały ją wielkie głazy spoczywające u podnóża skał. Poszedłem wzdłuż nich, uważnie wpatrując się w

głębiej pode mną. Doszedłem do najgłębszej i najspokojniejszej części zalewu, aż wreszcie ujrzałem to, czego szukałem, i wtedy krzyknąłem tryumfalnie.

— Cyanea, cyanea! Patrzcie na lwią grzywę!

Dziwna rzecz, którą wskazywałem, wyglądała rzeczywiście jak masa splątanych kudłów wydartych z grzywy lwa. Leżała na półce skalnej, jakieś trzy stopy pod wodą; niesamowity, falujący, włochaty stwór z pasmami srebra wśród żółtych kosmyków. Pulsował w wolnych, ospałych kurczach i rozkurczach.

— Dość złego zrobił. Teraz już koniec! — wołałem. — Niech mi pan pomoże, Stackhurst! Skończmy na zawsze z mordercą!

Akurat nad podwodną półką leżał wielki głaz. Pchaliśmy go dopóty, dopóki ze strasznym pluskiem nie wpadł do wody. Kiedy fale wreszcie się uspokoiły, zobaczyliśmy, że trafił w półkę. Jeden brzeg trzepoczącej się, żółtej błony wskazywał, że nasza ofiara spoczęła pod nim. Gęsta, oleista piana, sącząc się spod głazu i plamiąc wodę, powoli wypływała na powierzchnię.

— A to dopiero! — zawołał inspektor. — Co to było, panie Holmes? Urodziłem się w tych stronach i wychowałem tutaj, ale nigdy nie widziałem czegoś takiego. To nie jest z Sussex.

— Tym lepiej dla Sussex — zauważyłem. — Pewnie ten południowo-wschodni wiatr ją przygnał. Chodźcie obaj do mnie, a przeczytam wam wspomnienia człowieka, który ma powody, aby przez całe życie pamiętać spotkanie z tym postrachem mórz.

Gdy powróciliśmy do mego gabinetu, Gryff czuł się na tyle dobrze, że mógł już siedzieć. Był jednak jeszcze ciągle oszołomiony i od czasu do czasu wstrząsał nim dreszcz bólu. Urywanymi słowami wyjaśnił, iż nie wie, co się z nim stało. Nagle chwyciły go straszne bóle i potrzebował całego hartu

ducha, żeby się wydostać na brzeg.

— Tutaj macie książkę — powiedziałem, biorąc mały tomik — która pierwsza rzuciła światło na to, co mogło na zawsze pozostać tajemnicą. To są *Dalekie strony*, napisane przez znanego badacza J. G. Wooda. Wood sam omal nie zginął przy spotkaniu z tą bestią, tak że pisał z całkowitą znajomością rzeczy. *Cyanea capillata* — tak brzmi nazwa potwora. Spotkanie z nim jest równie niebezpieczne jak ukąszenie kobry, a przy tym dużo bolesniejsze. Pozwólcie mi przeczytać wyjątek.

— ”Jeśli pływak ujrzy okrągłą, luźną masę brązowych błon i włókien, coś, co przypomina pęk kudłów z lwiej grzywy oraz ścinki srebrnego papieru, niech się strzeże, bo to jest straszna parząca *cyanea capillata*”. Czy można lepiej opisać naszą złowrogą znajomą?

— Dalej Wood opowiada swe własne spotkanie z cyaneą, gdy wypłynął daleko, kąpiąc się przy brzegach Kentu. Stwierdził, że rozpościera ona prawie niewidzialne nitki w promieniu pięćdziesięciu stóp i że każdy, kto znajduje się w tej odległości od samego stworzenia, jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Właśnie przy tej odległości Wood omal nie zginął spotkawszy się z potworem. Wskutek zetknięcia się z licznymi nitkami na skórze występują jasnoczerwone pręgi. Dokładne badania wykazały, że składają się one z maleńkich plamek, z których każda zawiera czerwoną igiełkę wnikającą w głąb ciała.

— Ból zranionych miejsc jest, jak wyjaśnia Wood, najmniejszym jeszcze cierpieniem. „Bóle przeszywające pierś sprawiły, że upadłem jak trafiony kulą. Gdy kurcze minęły, serce uderzało mi ciężko sześć czy siedem razy, jakby chciało wyskoczyć z piersi”. Omal go to nie zabiło, choć spotkał się z cyaneą na sfalowanych wodach oceanu, a nie w spokojnym, ciasnym zalewie. Opowiada, że potem z trudem poznał sam

siebie, tak bladą, wykrzywioną i pomarszczoną miał twarz. Pił koniak, całą butelkę, i to, zdaje się, uratowało mu życie. Proszę, inspektorze, oto książka. Niech ją pan przejrzy, a stwierdzi pan, że zawiera pełne wyjaśnienie tragedii biednego McPhersona.

— A przy okazji oczyszcza mnie — zauważył Gryff z kwaśnym uśmiechem. — Nie mam pretensji do pana, inspektorze, ani do pana, panie Holmes; wasze podejrzenia były uzasadnione. Czuję, że w przeddzień aresztowania oczyściłem się z podejrzeń tylko przez to, że częściowo podzieliłem los mego biednego przyjaciela.

— Nie, panie Gryff. Wpadłem już na ślad i gdybym wyszedł tak wcześnie, jak zamierzałem, pewnie bym pana uchronił przed tą przykrą przygodą.

— Ale jak pan się domyślił?

— Jestem wszytkożernym czytelnikiem i mam pamięć wrażliwą na szczegóły. Ten okrzyk: „lwia grzywa” prześladował mnie. Wiedziałem, że gdzieś czytałem takie słowa, w jakimś niezwykłym zestawieniu. Zauważyliście, że pasują one do wyglądu stworzenia. Jestem pewny, że potwór unosił się na wodzie, gdy go McPherson zobaczył, i że słowami „lwia grzywa” chciał przestrzec nas przed bestią, która go zabiła.

— Tak więc ostatecznie jestem oczyszczony z podejrzeń — powiedział Gryff, wstając powoli. — Winienem jeszcze małe wyjaśnienie, bo wiem, w którą stronę kierowaliście swe poszukiwania. To prawda, że kochałem pannę Bellamy, ale od dnia, w którym wybrała McPhersona, myślałem tylko o ich szczęściu. Byłem zadowolony, że mogłem stać z boku i pośredniczyć im. Często prznosiłem listy. Byłem ich powiernikiem, a ponieważ ona była mi bardzo droga, pobiegłem zawiadomić ją o śmierci McPhersona, aby kto inny nie zrobił tego w sposób mniej oględny. Maud nie powiedziała panu o

naszych stosunkach bojąc się, że je pan źle oceni, a ja będę cierpiał. Jeśli pan pozwoli, spróbuję wrócić do Gables, bo chętnie położyłbym się do łóżka.

Stackhurst wyciągnął do niego rękę.

— Nasze nerwy były napięte do ostateczności — powiedział. — Niech pan zapomni o tym, co było, Gryff. W przyszłości będziemy się wzajem lepiej rozumieć.

Wyszli razem, przyjacielsko trzymając się pod rękę. Inspektor pozostał, patrząc na mnie w milczeniu cielejącymi oczami.

— No tak, rozwiązał pan zagadkę! — zawołał wreszcie. — Czytałem o panu, ale nie wierzyłem. To było wspaniałe!

Musiałem potrząsnąć głową. Przyjęcie takiej pochwały byłoby obniżeniem własnego poziomu.

— Byłem zbyt powolny, karygodnie powolny. Gdyby ciało znaleziono w wodzie, od razu wpadłbym na właściwy pomysł. To ręcznik mnie zmylił. Biedak nie myślał nawet, aby się wytrzeć, a ja dlatego sądziłem, że w ogóle nie był w wodzie. Jakże więc mogłem przypuścić, że zaatakowało go stworzenie wodne? W tym miejscu zbłądziłem. Tak, tak, inspektorze, ośmielałem się często kpić z panów z policji i oto *cyanea capillata* omal nie pomściła Scotland Yardu.